

TR WARSZAWA

Inni ludzie
Doroty Masłowskiej

adaptacja, reżyseria,
scenografia
Grzegorz Jarzyna
kostiumy,
charakteryzacja
Anna Axer-Fijałkowska
światła
Aleksandr Prowaliński
muzyka **Piotr Kurek**,
Krzysztof Kaliski
producent bitów,
DJ/VJ live **Michał DJ B**
Olszański
reżyseria dźwięku
Maciej Szymborski
zdjęcia **Radek Łączuk**
grafika **Adrien Cognac**
animacje
Julia Nędzyńska
ilustracje
Maciej Chorąży

prapremiera
15 marca 2019

Scena zbiorowa



fol. Marcin Oliva Soto

Straszne Polaki

AUTOR: AGATA TOMASIEWICZ

Najnowszy spektakl Grzegorza Jarzyny to wiwisekcja pozornych wartości wielkomiejskiego społeczeństwa. Wszelkie motywacje działań bohaterów zostają naprędce wydrwione.

■ *Inni ludzie* to raperski epos ze strawestowanym toposem *homo viator* w tle – główny bohater tuła się od dzielnicy do dzielnicy z płonną nadzieją na nagranie przełomowej płyty. Jarzyna razem z Michałem DJ B Olszańskim doskonale wyczuwają słynną muzyczność języka Masłowskiej. Efektem jest znakomicie zorkiestrowany spektakl wykorzystujący estetykę *glitch art* i komputerowej pikselozy, wszelkie zapętlenia, szумы, zgrzyty, zawodność filmowej techniki *blue box*. W centrum przestrzeni scenicznej stoją trzy ekrany przypominające fakturą elewacyjną falistą blachę znaną z blokowisk – ów plan będzie non stop korespondował z planem żywym. Wszystkie zabiegi składają się na palimpsest epoki cyfrowej. Remiks jawi się tu nie tyle jako dialog z konkretnymi tekstami kultury, co jako proces abstrahowania z codziennej rutyny słów, zachowań,

rytmów, odruchów – ogółem: werbalno-cieleśnych natręctw – i potęgowania ich w celu ukazania prawdy o podziałach rządzących polską metropolią. Z tego kłębowiska wyłania się diagnoza – z założenia uproszczona, skądinąd oswojona. Należy jednak przyznać, że reżyser winduje poziom prozy Masłowskiej i wydobywa z niej fragmenty, w których można odczuć tragiczny los bohaterów, skazanych nie tyle na brzemień wyboru, co na jego brak.

„Przejebany dzień” – pada ze sceny w pierwszym zbiorowo wykonanym utworze. To defetystyczny antyhymn doświadczonych przez życie jednostek. I to nie tylko mieszkańców grochowskiego zagłębia, w tym protagonisty Kamila, zagranego przez naturszczyka Yacine’a Zmita. Spektakl jest również wyrazem

niemocy znudzonej nowobogackiej kasty. Frustracje wynikają z podobnych kompleksów, a drogi bohaterów krzyżują się w najmniej spodziewanych momentach. Każdy próbuje umocnić swoją społeczną pozycję, choć w ostatecznym rachunku przegrani symbolicznie podają sobie rękę. Ciotka i wujek z dawnego „erefenu”, co niegdyś „na serce Ciociosan walili z wiadra”, wchodzą w buty fałszywie jowialnych kuzynów z Zachodu krytykujących obecny rząd, rzucając zgrane frazesy i patronizując ubogim krewnym; wszystko to w siernieżnym anturażu z meblościanką, w morzu igieł z osypującej się bożonarodzeniowej choinki. Inni, jak choćby niezbyt lotna Anecia w interpretacji Natalii Kality, będą w samotności wróżyć z fusów osiadłych na dnie średniopółkowego wina. Podobnie Justa Aleksandry Po-

pławskiej, przeciętna studentka w „butach do bycia brzydką dziewczyną”, która jest skazana na bycie zmorą z sąsiedniego pokoiku na peryferyjnym Wrzecionie, natrętną podglądaczką lokatorskich łóżkowych ekscesów. Ale i czempioni awansu społecznego będą próbowali zagłuszyć nieprzyjemne emocje – czy to wyrzut sumienia po zdradzie, czy poczucie prozaicznej pustki egzystencjalnej. Weźmy Iwonę, typową „żonę swojego męża” (w tej roli, proszącej się jednak o wyraźniejszy rys, Agnieszka Podsiadlik). Kobieta łyka Xanax jak landrynki w celu chwilowego wyciszenia namolnych myśli i uzyskania wypaczonej namiastki nirwany. Mentalność nowobogackich nie odbiega bardzo od zachowań pogardzanych przedstawicieli nizin społecznych. Przyprawiająca mężowi rogi Iwona będzie kierować się zasadą „co ludzie powiedzą” niczym obciachowa, pocieszna Hiacynta Bukiet – ocierając się przy tym o histerię.

Spektakl TR Warszawa to ogromne przedsięwzięcie, również jeśli chodzi o liczbę zaangażowanych do niego osób.

Adam Woronowicz jako mąż, który próbuje naprędce sklecić (bo nawet nie odbudować) relację z zatopionym w wirtualnej rzeczywistości synem (Rafał Maćkowiak), córką z poprzedniego małżeństwa (również Maćkowiak) oraz kochanką, która jako jedyna przejawia wobec niego jakiejkolwiek uczucia. Maciej to „gość w wolwie”, zasypany jedzeniem w pudełkach z modnej firmy cateringowej. Gdyby szczyt jego kariery przypadł na lata dziewięćdziesiąte, byłby zapewne przebojowym *yuppie*. Być może wszedłby na wojenną ścieżkę z pączkującym kapitalizmem jako rodzima wersja Patricka Batemana z *American Psycho* – dziś pozostaje mu tylko malkontenctwo uprawiane z zapałem kierownicy nowiutkiego auta. „Przejebane życie” przybiera w głowie każdego z bohaterów trochę inne barwy. Wszystko sprowadza się jednak do współprzeżywanego uwiadu. Przy czym Jarzyna dotyka również ogólniejszych problemów, choćby kryzysu klimatycznego czy absurdów prowadzonej obecnie polityki i wizerunkowych wpadek decydentów.

dii do rodzinnej miejscowości. Gdzieś w tle pojawia się historia Jolanty Brzeskiej i innych ofiar kamieniczników – oczywiście strywializowana, zepchnięta na margines doraźnych zgryzot i zgryzotek. Uderza rozmach przedsięwzięcia. Sławne, nieraz opatrzone twarze, znane z telewizji, zostają przeniesione w nową, równoległą rzeczywistość – tam, gdzie wszystko zdaje się istnieć po to, by bez końca naigrawać się z bohaterów-bezwolnych łatek. Twórcy ustawiają zwierciadło, w którym może przejrzeć się syty odbiorca współczesnego teatru, będący, chcąc nie chcąc, konsumentem napompowanej medialnej fikcji.

Przy całym uznaniu dla sprawnej i inteligentnej inscenizacji, próbującej być przy okazji zakamuflowaną przestrogą, nie sposób zignorować pewnych przemyśleń. Czy twórczość ironicznej papieżycy polskiego teatru nie jest przypadkiem źródłem, które łąda chwila może wyschnąć? Ile jeszcze można wyzyskać z jej twórczości? Chyba nie trzeba nikomu udowadniać, że Masłowska ugruntowała swoją pozycję świetnej pisarki i komentatorki aktualności, o czym świadczą nie tylko jej utwory prozatorskie i dramatyczne, ale i felietony, choćby te publikowane na łamach wskrzeszonego „Dwutygodnika”, wydane w zbiorze *Jak przejąć kontrolę nad światem, nie wychodząc z domu*. Istnieją też przecież zdolni teatralni inżynierowie tekstów pisarki – choćby Jarzyna, choćby Paweł Świątek, który zrealizował niedawno w Krakowie *Wojnę polsko-ruską...*, a wcześniej świetnie igrającego z językiem *Pawia królowej*.

Może to zbyt techniczny detefetyzm ignorujący przesłanki, czyli sporą liczbę udanych adaptacji, ale czy kolejny pato-lumpen-rap-epos Masłowskiej będzie miał potencjał, by przekroczyć granicę (kontrolowanej) wtórności? To prawda, kulturowy remiks rządzi się swoimi prawami – pojęcie autoplagiatu czy wręcz epigonizmu nie ma racji bytu, bo sama kultura od dawna jawi się jako wąż pożerający własny ogon. Być może nadejdzie jednak czas, że repertuar teatrów ulegnie przesyleniu podobnym stylem i tematyką. Pozostaje pytanie, ilu następnych *Innych ludzi* będzie potrzebował teatr, by kolejne widowiska zachowały świeżość i siłę oddziaływania. Reżyser z mniejszym wyczuciem może stworzyć pokracznego klona, przemielić kolejną książkę autorki na niestrawny stek banałów – a przypuszczam, że całkiem niedługo i zdolny twórca wywiesi ostatecznie białą flagę. Pora na krok naprzód. ■

Reżyser winduje poziom prozy Masłowskiej i wydobywa z niej fragmenty, w których można odczuć tragiczny los bohaterów, skazanych nie tyle na brzemień wyboru, co na jego brak.

zowanych do niego osób. W centrum widowiska stoi patchworkowa rodzina zamieszkująca Pragę. Wspomniany Kamil w ujęciu Zmita, lawirant i pasożyt, zafiksowany na punkcie nagrania wymarzonego albumu. Agnieszka Żulewska jako Sandra, przyrodnia młodsza siostra głównego bohatera, jako narratorka całej opowieści. Ta postać odbiega znacznie od wizerunku rozkapryszzonego podlotka naszkicowanego na kartach dzieła Masłowskiej. To cyniczna prowokatorka – trudno oprzeć się wrażeniu, że zna już pesymistyczny finał całego ambarasu. Świetna jest Maria Maj wcielająca się w matkę – zgryźliwa, momentami wulgarna, mająca świadomość przegranego życia i przez to próbująca zainfekować fatalizmem swojego prostodusznego syna.

Po drugiej stronie warszawskiego lustra mizdrzy się Iwona, silikonowa boginka, która w okresie świątecznym ucieka wraz z rodziną do Kambodży, by kontestować „polski kontekst”, choć sama tak naprawdę nie potrafi wyzbyć się małomiasteczkowej zachowawczości. Bardzo dobrze rozgrywa swoją postać

Przykładem może być song *Straszne Polaki*, którego refren skandowany jest przy wyświetlonym na ekranach klipie z ludźmi lewitującymi nad panoramą Warszawy w patriotycznych przeciwdeszczowych pelerynach.

Wszystkie postaci dostają drugie życie na samplach wideo wyświetlanych na trzech ogromnych panelach – widzimy osądzające spojrzenie Sandry, umizgi Aneci i Iwony, naiwną twarz Kamila – ale pojawia się też na nich plejada osób z polskiego światka medialnego. W pewnym momencie rozlega się chłodny głos Krystyny Czubówny. Andrzej Seweryn wciela się w rolę oblanego „spermą” księdza, czyli głosu sumienia przywołującego do porządku cudzołożnicę Iwonę. Tomasz Karolak ironicznie szczerzy się z billboardu reklamującego usługi operatora telefonii komórkowej. Monika Olejnik, jako reporterka rodem z powieści z dreszczykiem, przemyka klatkami odrapanych kamienic. W kilka ról wciela się wyjątkowo plastyczny Marcin Czarnik – między innymi w kierowcę busa przewożącego radzynian z metropolitalnej pseudoarka-